

# BUŁAWA MARSZAŁKOWSKA



ZBIGNIEW DOWNAR

## BUŁAWA MARSZAŁKOWSKA

*Maszerując strzelcy, maszerując, karabiny błyszczą, szary strój...*

Ille to razy śpiewałem tę i inne piosenki najpierw w podchorążówce, a później razem z moimi żołnierzami! Także podczas marszów forsownych, 80 km z pełnym wyposażeniem, gdy niektórzy nie wytrzymywali i trzeba ich było później zbierać i dowozić.

Tajemnicą cicho powtarzaną wśród panów oficerów jest to, że piosenki wojskowe są po to, żeby zająć czymś żołnierza podczas marszu. Nie czuje on wtedy tak zmęczenia, niewygody znosi łatwo, ale przede wszystkim nie ma czasu na *strach*, gdy już idzie tam, dokąd ma dojść, gdzie jest potrzebny. Ojczysta nas potrzebuje, kraj na nas liczy...

Wstydliwe słowo: *strach*... Właściwie nigdy nie wypowiadane. W wojsku nie ma przecież miejsca na coś takiego. Liczą się nasze ideały, w cenie jest patriotyzm, odwaga, a przede wszystkim *honor*.

Szczególnie ktoś taki jak ja, oficer zawodowy, po prostu nie ma prawa się bać.

A jednak Antek czuł pewne zdenerwowanie. Pociąg toczył się spokojnie, cicho dudniąc po torach. Każdy wstrząs na złączach wywoływał lekkie mdłości. Czy oni też to czują?

Panowie oficerowie wyglądały na radosnych, choć lekko podekscytowanych.

- Już wkrótce czapkami ich nakryjemy - ironizował Tadeusz.

Ille czasu może potrwać ta wojna?

- Mam nadzieję, że niezbyt krótko, bo przecież trzeba zdążyć dostać order, a może nawet zdobyć promocję na wyższy stopień – odpowiedział Józek.

No tak, wojna to przecież najlepsza okazja do awansu. Nie obowiązują wtedy terminy, a nawet w wyjątkowej sytuacji można przeskoczyć jeden szczebelek i ze stopnia podporucznika awansować bezpośrednio na kapitana.

*Każdy żołnierz nosi buławę marszałkowską w plecaku.*

To znane w wojsku powiedzenie Antek powtarzał sobie w myśli niejednokrotnie, jeszcze przed podchorążówką, potem już w Bydgoszczy podczas tych beztroskich, radosnych lat przygotowań do tego, aby najważniejsza część wieloletnich marzeń się spełniła i mógł w końcu zostać oficerem zawodowym.

Tym razem jednak te słowa nie brzmiały dla Antka tak przekonująco, jak dotychczas.

Przez całe lata studiował przecież wojnę, przygotowywał się do tego, co właśnie ma nastąpić. To znaczy już jest, choć dla niego było to jeszcze nie do końca realne.

A przecież wiedział, jak to będzie, jak rozwija się szyk bojowy, jak poderwać żołnierza do ataku i jak pozwolić okopać się każdemu w swojej dziurze tak, aby poczuł się w miarę bezpiecznie. W wyobraźni słyszał już wybuchy pocisków artyleryjskich i suchy odgłos wystrzałów z broni strzeleckiej i ten niższy, bardziej basowy z ckm-ów.

Tak to wyglądało na ćwiczeniach, to było jak próby generalne przed przedstawieniem.

Antek widywał przedstawienia.

Już w podchorążówce bywał w teatrze, w operetce, a nawet w operze. Przyszli panowie oficerowie musieli przecież nabrać towarzyskiej pewności siebie, oglady i obycia, aby nie przynosić wstydu naszemu wojsku.

*Szumią wierzby na górze szczycie...*

Słysząc aria Jontka z „Halki” Antek zawsze wstydliwie ocierał łzy z oczu. To było przecież o nim samym, o chłopcu z biednej rodziny, który nie raz oglądał pęta kiełbasy wiszące pod sufitem przez cały Wielki Post, po to, aby wreszcie, raz w roku poczuć smak wędzonki i delectować się nim bez ograniczeń.

Chrystus Zmartwychwstał!

Zaprawdę Zmartwychwstał!

To poranne przywitanie i odpowiedź, oznaczało przecież także i to, że już wkrótce dzieci i dorośli usiądą przy świątecznym stole.

A oni, młodzi mężczyźni z wyższych sfer są dla wielu z naszych dziewcząt marzeniem i nadzieję na lepsze życie, więc zdarza im się zwrócić niektórym z nich w głowie, po to, żeby się po prostu zabawić. Odbijają z łatwością dziewczyny prostym chłopakom dla chwilowej rozrywki.

*Oj Halino, oj jedyna, dziewczyno moja...*

Gdy już zostanę oficerem, to ja będę często dla nich taką nadzieję – gdzieś tam głęboko w tajemnicy przed innymi, a może i przed samym sobą myślał wtedy Antek.

Teraz zbliża się nasze przedstawienie, nasza opera.

W końcu wysiadziemy przecież z tego pociągu. Za godzinę, lub dwie zbliżymy się do linii frontu na tyle, że trzeba będzie sformułować szyk marszowy i dojść tam, gdzie zaplanowało dowództwo. To nie będzie marsz forsowny, zaledwie jakieś 20, może 30 km spokojnym, równym krokiem. A przecież nie wyrównany krok będzie wtedy najważniejszy. Trzeba zadbać o morale wojska.

Tyle razy nam powtarzano na szkoleniach: żołnierz ma odczuwać pozytywne emocje, dumę obrońcy Ojczyzny, pewność siebie i optymizm. Nie będzie wtedy czasu na strach

*...A przed nimi drzewa salutuję, bo za naszą Polskę idę w bój.*



Powoli mija oszołomienie. Za to znów pojawia się świdrujący ból w lewym udzie. Antek próbuje przesunąć nogę. Ból się nasila, ale noga porusza się nieznacznie. No to nie jest najgorzej, przemknęło mu przez myśl, jednak za chwilę nie może powstrzymać stłumionego jękiu.

- Panie poruczniku, proszę się nie ruszać bez potrzeby – głos młodej dziewczyny w białym czepku był stanowczy i pełen przejęcia.

- Najważniejsze, że noga cała – Antek uśmiechnął się krzywo.

- No, może niezupełnie, dziura w udzie pozostanie. Ale będzie pan chodził bez problemu i żadna kość nie jest złamana – pielęgniarka powiedziała z uśmiechem.

- Trzeba tylko leżeć spokojnie przez jakiś czas – dodała już nieco poważniej.

Jak przez mgłę powraca wspomnienie. Major Radziejowski zwoływa dowódców pododdziałów na odprawę do sztabu pułku.

- Panowie oficerowie, powiem tak, sytuacja jest właściwie beznadziejna. Niemcy z dwóch

stron przekroczyli Wisłę i zbliżają się manewrem oskrzydlającym. Równocześnie wiadomo, że Sowieci wbili nam nóż w plecy i zaatakowali na całym froncie od wschodu. Krótko i wężlowato, jesteście zwolnieni z przysięgi wojskowej i możecie rozjechać się do domów.

Zapadła cisza pełna napięcia.

- Jednak, kto chce, może zgłosić się na ochotnika, będziemy próbowali wyrwać się z okrążenia i dotrzeć do granicy rumuńskiej. Jeśli zdażymy, będziemy kontynuować wojnę poza granicami kraju. A więc, kto się zgłasza?

Podniósł się las prawych rąk. Żadna nie była opuszczona...

A później ten atak, w celu wyrwania się z niemieckiego okrążenia.

Antek pamiętał obronę przeprawy przez Wisłę, w okolicy Góry Puławskiej, po wysadzeniu mostu przez saperów. Wymiana ognia z ckm-ów i moździerzy, ale jakby bez przekonania. Straty nie były duże. Później wycofywanie się i potyczki podczas osłaniania odwrotu.

To jednak było zupełnie coś innego. Bezustanny ogień artyleryjski i moździerzowy; ludzie obok padają jak muchy, jeden po drugim. Byle do przodu! Niemcy nie są okopani, zaraz zaczną się wycofywać pozostawiając ciężki sprzęt, który z bliska nie na wiele im się przyda. Wygląda na to, że się udało!

Przeszywający ból w lewym udzie i stopniowo zagęszczająca się mgła przed oczami... Czyżby koniec? A potem cisza, jakieś dziwne odgłosy, wspomnienia...

- Jak się tu dostałem? – Antek zapytał cicho.

- No cóż, zgarnęli pana porucznika jakoś i przenieśli do punktu opatrunkowego. Później odział powędrował dalej, a pan porucznik znalazł się tutaj.

- A my gdzie jesteśmy?

- W Hrubieszowie, nad samym Bugiem. Są już tu Niemcy, ale szpitalem na razie się nie interesują. Pytali tylko, czy nie ma tu kogoś z Bydgoszczy. Chodzi im chyba o to, że rozprawiliśmy się tam z ich piątą kolumną, z dywersantami. Mówią, że to była polska zbrodnia wojenna i szukają winnych.

- A Sowieci?

- Podobno są już po drugiej stronie Bugu.

Nie jest dobrze – pomyślał Antek. W zasadzie Konwencja Genewska mnie chroni, lecz nie wiadomo, co Niemcom przyjdzie do głowy. Może ich zainteresować fakt, że ukończył Szkołę Podchorążych właśnie w Bydgoszczy, choć nie byłem tam już od ponad roku. A cóż dopiero, jeśli przyjdą tu Sowieci. Znam przecież tych bandytów, wszystkiego się można po nich spodziewać.

Antek pamięta dobrze, choć był wtedy małym dzieckiem, strach matki i wszystkich dookoła, gdy bolszewicka dzicz wpadła do rodzinnego zaścianka w dwudziestym roku.

Trzeba stąd wiać. Ale jak, z unieruchomioną nogą? Antek rozejrzał się dookoła. Dziewczyny w białym czepku nie było... Poczuł znowu zmęczenie, myśli zaczęły się płakać.

- Panie poruczniku, muszę panu coś powiedzieć. Oni pytają o oficerów, chcą ich wszystkich przesłuchać i potem zabrać do oflagu. Mówią, że wojna już się skończyła i wszyscy będą bezpieczni. Ale ludzie widzieli, jak Niemcy zbierają się do odjazdu. Podobno wejdą tu zaraz Sowieci.

- Pomożesz mi? – cicho zapytał Antek.

- Tak, panie poruczniku – konspiracyjnym szeptem odpowiedziała dziewczyna. Jej spojrzenie mówiło za wszystko.

- Kochana jesteś, a przy tym taka ładna, prawdziwy anioł. Że też nie spotkałem Cię wcześniej.

- Panie poruczniku...
- Jak masz na imię? I daj spokój z tym tytułowaniem, nie ma na to czasu. Ja jestem Antek.
- A ja Zosia...
- A więc Zosiu, czy jest tu, albo niedawno był, ktoś z oficerów, lub podoficerów lekko rannych? Jeśli tak, to zapytaj go, czy nie moglibyście mnie stąd zabrać, najlepiej w nocy tak, żeby nikt, a już na pewno żaden Niemiec, tego nie zauważał.
- Oni chyba już wyjeżdżają, zostawią pewnie was w spokoju.
- To tym gorzej, sprawa jest pilna, wkrótce pojawią się bolszewicy, a z nimi nie ma żartów, oni nie mają żadnych skrupułów.
- Dobrze, mój Antosiu, nic się nie martw, na pewno coś wymyślę – dziewczyna delikatnie pogłaskała Antka po ręce i wyszła.

Antek znowu zapadł w sen. Osłabienie przeważyło nad zdenerwowaniem.

- Panie poruczniku, przenosimy pana do lżej chorych. Mamy nowych ciężko rannych.
- Obok Zosi stał nieznajomy mężczyzna w białym kitlu. Wzięli go pod pachy i zaczęli prowadzić. Starał się nie ruszać chorą nogą, ale i tak ból był trudny do zniesienia. Zosia mrugnęła porozumiewawczo.

Za chwilę już byli poza murami budynku; w pobliżu stała furmanka. Mężczyzna zdjął kitel.

- Podporucznik Adam Chędzikowski – przedstawił się. Ja też tu trafiłem, byłem lekko ranny w rękę i nic tu już po mnie.

- Podporucznik Antoni Przedpolski, bardzo mi przyjemnie.

Uścisnęły dlonie i wsiedli do furmanki.

- A ty, Zosiu? – zapytał miękko Antek.

- Ja zostaję, jestem tu przecież potrzebna.

- Wróć do ciebie, jak tylko wojna się skończy, aniołku ty mój kochany.

W oczach dziewczyny pojawiły się łzy.

- Nigdy o tobie, Antoś, nie zapomnę, dopóki żyję...



- Co się stało, jesteś ranny? – w głosie Jadzi słyszać było panikę.
- Nieu, nic takiego znowu, do wesela się zagoi – Antek najwyraźniej nadrabiał miną.
- A jednak jego uśmiech był krzywy i wymuszony. Pod okiem widać było olbrzymi siniak, z rozciętej wargi sączyła się krew. Jadzia podeszła do niego próbując nieporadnie przyłożyć jakiś wacik.

- Zaraz poszukam jodyny, żeby nie było zakażenia.

Jej głos był miękki, z odcieniem smutku, choć już nieco spokojniejszy.

Ich mały pokoik na Pobereżanach w małym nadbużańskim miasteczku był dotychczas jakim takim schronieniem przed okropnościami wojny i niemieckiej okupacji. Przyzwyczaili się jednak do tego, że człowiek nie jest pewien dnia ani godziny, a każde wyjście z domu mogło się źle skończyć. Bo przecież ulicami chodzili ONI, butni i pewni siebie Niemcy, uzbrojeni po zęby, oraz ci spośród nas, Polaków, którzy uznali, że trzeba trzymać z silniejszym i podpisali volkslistę.

Każdy, kto miał broń, a zwłaszcza ten, kto mógł ją nosić jawnie był właściwie panem życia i

śmierci pozostałych.

- Kiepska z ciebie pielęgniarka - półżartem zauważył Antek. Niewiele byś poradziła, gdyby złamał mi szczękę, albo wybił oko.

Jadzia wiedziała, że to nie żarty, tak przecież naprawdę mogło się zdarzyć. Najgorsze było to, że nie było żadnej możliwości poskarżenia się komukolwiek, bo przecież my nie mamy tu żadnych praw, żadnej ochrony.

- Nie chcesz wiedzieć kto mi przyłożył? – zapytał Antek po chwili.

- Nie myśl o tym, jakie to ma znaczenie... - głos Jadzi lekko się łamał, choć próbowała zapanować nad emocjami.

- Pamiętasz Fredzia Wronę? Był prawie naszym sąsiadem, witaliśmy się zawsze spotykając na ulicy, choć nigdy za nim nie przepadałem. Miał opinię drobnego żulika; niektórzy nawet mówili, że jest kieszonkowcem, choć jakoś nigdy nikt go nie przyłapał.

Jadzia nic nie odpowiedziała. Było jej trochę przykro, że Antek, oficer zawodowy nie obronił się przed zwykłym łobuzem. Cóż, takie mamy czasy – pomyślała melancholijnie, przykładając Antkowi wacik nasączony jodyną.

Teraz to dopiero zabolało – Antek aż się wzdrygnął.

- Idę sobie spokojnie lewą stroną Uchańskiej, a po prawej widzę typka w szarym mundurze z opaską na ramieniu. Nie ma żartów, gestapowiec. Coraz bezczelniejsi, w dzień chodzą już w pojedynkę – pomyślałem. Najważniejsze, to nie rzucać się w oczy, przecież nie będzie wszystkich po kolei zaczepiać..

*Halt* – to szczenięcie nie wróży niczego dobrego. Widzę, że trzyma rękę na kaburze.

*Antoś, podejdź no tu, pogadamy* – jego głos brzmiał nieomal pieszczołiwie.

Ten skurwiel mówi po polsku, a to historia. Co to za jeden? - pomyślałem. No, ale trzeba było podejść, przecież mógł po prostu strzelić i tyle. Patrzę, a to nasz sąsiad, Fredzio. Zawsze był raczej grzeczny, taki drobny cwaniaczek.

*Sąsiada nie poznajesz, Antoś? No co jest, może ten mundur ci przeszkadza? Jak widzisz jestem teraz Niemcem i jest mi z tym całkiem dobrze.*

- Miałem ochotę mu odpowiedzieć „świń z panem nie pasłem” bo przecież nigdy nie byliśmy na ty. Oczywiście nie powiedziałem tego głośno.

*Czemu nie odpowiadasz, kolego? Nie lubisz tej opaski, prawda?* Pokazał na czerwoną szmatkę ze swastyką na lewym ramieniu.

W takiej sytuacji najlepiej nic nie mówić i nie patrzeć uzbrojonemu przeciwnikowi w oczy, inaczej pogarszamy tylko swoją sytuację - uczył nas kapitan Zieliński jeszcze w podchorążówce. No i skończyło się nie najgorzej po prostu dostałem parę razy pięścią po twarzy i bydlak poszedł sobie...

- Bardzo boli? - w głosie Jadzi było tyle ciepła i czułości, na ile tylko mogła się zdobyć, równocześnie starając się nie wpadać w żałosne tony.

- E tam, nie żartuj, byłem przecież ranny w trzydziestym dziewiątym, wyjmowali mi odłamek z uda prawie na żywca, to dopiero bolało. Pamiętam dobrze, choć sporo czasu minęło. Niech policzę, teraz mamy kwiecień czterdziestego trzeciego, a więc to już przeszło trzy i pół roku temu. Ale i tak mi się udało, wyszedłem z tego, a później jeszcze poznałem ciebie – Antek dodał, z rzadką u niego czułością.

Jadzia poczuła nieodpartą chęć pocałowania Antka, jednak wstrzymała się. Jak prawie każda kobieta, była wrażliwa na takie słowa. A jeszcze do tego był on teraz pod jej opieką, odwrotnie niż zazwyczaj, kiedy to ona czuła się słaba i bezradna, a Antek zawsze znajdował jakieś wyjście z trudnej sytuacji, których ostatnio przecież nie brakowało.

- Moi koledzy mieli mniej szczęścia. Jeśli nawet nie zginęli w tej bitwie, to chyba dostali się do niewoli u Sowietów, a z nimi nic nie wiadomo, oni nie uznają konwencji genewskich, tych o jeńcach wojennych.

- Myślisz, że u Niemców byłoby im lepiej? - w głosie Jadzi zabrzmiała niechęć. Zawsze tak było, gdy Antek twierdził, że Sowieci nie są lepsi, a może nawet gorsi od Niemców. Mało ci było dostać od Niemca po twarzy?

Antek odwrócił głowę patrząc ponuro przed siebie.

Jadzi zrobiło się przykro.

- Nie gniewaj się, co ja opowiadam, przepraszam – chciała mu to jakoś wynagrodzić, objąć i przytulić, jednak Antek odsunął się i powiedział szorstko: daj mi lepiej coś do jedzenia.

- Zrobię ci jajecznicę na kiełbasie – głos Jadzi zabrzmiał pogodnie i obiecująco.

Antek poweselał. Nieczęsto pozwalali sobie ostatnio na taki luksus.

- Chyba zajrzę do Adama, wypijemy po kieliszku. Antek wyjął z szafy dużą butelkę z bimbrem.

- A wiesz, Adam opowiadał, że słyszał, jak radio Berlin mówi o jakimś Katyniu. Podobno znaleźli tam zwłoki i twierdzą, że to nasi oficerowie zabici przez Sowietów, ale jakoś nie chce mi się w to wierzyć.

Antek poczuł zimno na całym ciele.



*Czy to deszcz, czy słoneczna spiekota  
Wszędzie słychać miarowy, równy krok  
To na bój idzie leśna piechota  
Śpiew na ustach, spokojna twarz i wzrok*

A więc znowu jesteśmy wojskiem, jawnie, w umundurowaniu (to nic, że nie zawsze kompletnym) z orzełkiem na czapkach. Co prawda, krok nie zawsze jest równy, szyk bardziej swobodny niż w trzydziestym dziewiątym, bo dyscyplina luźniejsza i żołnierze już nieco inni.

- Panie poruczniku, czy jak już dojdziemy do Warszawy, to Niemcy jeszcze tam będą? – zapytał Janek przerywając na chwilę śpiew

- Najpierw musimy tam dotrzeć, a po drodze są jeszcze Sowieci, z nimi nigdy nic nie wiadomo – odpowiedział Antek

- Przecież walczymy razem przeciwko Niemcom, więc nie powinno być problemów – głos tego chłopca był pełen optymizmu i entuzjazmu.

No tak, krok niezbyt równy, ale twarz żołnierza jest spokojna, wzrok również. Nie wie jeszcze, co go może czekać i lepiej, żeby nie wiedział - pomyślał Antek.

Antek rozumiał dobrze, że problemy z Sowietami mogą być i pewnie będą. Dopiero co widział przecież defiladę w Chełmie i tę mniejszą, w Hrubieszowie. Polskie mundury, rogatywki... Jeździli jeszcze później w ciężarówkach po mieście do wieczora, śpiewając nasze, wojskowe piosenki. Wyglądało na to, że to Polacy sprzymierzeni z Sowietami wyzwalały

miasto. Żołnierze może i są Polakami, ale co z tego?

Już następnego dnia o świcie znaleziono w wielu miejscach znanych i szanowanych obywatele miasteczka martwych, z dziurą w głowie. Leżeli w różnych dziwnych miejscach, w jakichś garażach, piwnicach, w małych warsztatach, gdzieś na skraju lasu...

Sędzia, notariusz, ksiądz, aptekarz, a nawet nauczyciel podstawówki.

Na mieście znowu zapanował strach.

W tym przejawia się cała sowiecka perfidia i obłuda. Dla tych, co im wierzą – pokaz piosenek i żołnierzy w rogatywkach, dla innych – cichy terror. Żadnych groźnych obwieszczeń, łapanek, czy ulicznych egzekucji. Po co sobie zrażać potencjalnych zwolenników?

O tym wszystkim Antek mógłby opowiedzieć Jankowi i innym młodym partyzantom, ale po co? Pewnie jeszcze o tym się dowiedzą, więc na razie niech się cieszą z tej wolności po latach lęku przed każdym przechodzącym człowiekiem w mundurze.

- Jak będzie, zobaczymy. Teraz jesteśmy wojskiem polskim, a Niemcy uciekają. Nie musimy się już tak bardzo chować, są nas setki, a będą wkrótce tysiące, mamy broń i to oni będą się nas teraz bać – Antek wiedział, jak ważną rzeczą jest morale wojska.

Zresztą, pomimo niepokoju, sam też odczuwał radość. Ta jawność noszenia fragmentów umundurowania, orzełka i broni, była czymś niezwykłym, wręcz nadzwyczajnym po tych prawie pięciu latach ukrywania się i konspiracji.

A jednak starali się przechodzić lasami, zwłaszcza teraz, w dzień. Taki był rozkaz. Strzeżnego Pan Bóg strzeże.

Pojawia się kolejna polana, całkiem duża. Przed ścianą lasu nieduże poletko, po części łąka, a po części kartoflisko.

Zatrzymujemy się – rozkaz zostaje przekazany z ust do ust.

Wygląda na to, że zwiad zauważał coś mocno podejrzaneego – pomyślał Antek. Rzeczywiście, po drugiej stronie polany widać grupki ludzi, jakiś sprzęt i pojazdy. Najwyraźniej są tam ustawione ckm-y, a nawet tankietki. Trzeba się zatrzymać i postanowić, co dalej.

Kapitan Wiśniewski zbiera oficerów i podoficerów.

Musimy z nimi rozmawiać - ogłosił. Trzeba uspokoić Sowietów, że nie jesteśmy wrogami, a wręcz przeciwnie, chcemy wspólnie z nimi uderzyć na Niemców. Idziemy przecież na pomoc Warszawie, która walczy już prawie dwa tygodnie i pilnie potrzebuje pomocy. Omówimy wspólnie plany taktyczno-operacyjne.

Antek ma wątpliwości.

- Panie kapitanie, ja uważam, że nie można im ufać, oni prowadzą swoją grę. To bandyci, nie lepsi od Niemców.

- Poruczniku Przedpolski, podjąłem już decyzję. Nie mamy innego wyjścia, po prostu musimy zaryzykować. Bez ich zgody nie przedostaniemy się nie tylko do Warszawy, ale nawet o kilometr dalej. Damy im sygnał, że tu jesteśmy, a następnie wyjdę sam, z białą flagą. Myślę, że ich dowódca również wyjdzie i spotkamy się gdzieś w połowie drogi. Będzie mnie pan ubezpieczać z grupą doświadczonych strzelców, na wypadek, gdyby zdecydowali się na atak. Oni o tym dobrze wiedzą i nie powinno być niespodzianek.

- Panie kapitanie, to bardzo ryzykowne przedsięwzięcie.

- Wiem, ale nie mamy wyboru. Przygotować ludzi do zabezpieczenia!

- Tak jest, panie kapitanie! Niech pana Bóg poprowadzi...

Antek patrzy z napięciem na kapitana powoli wychodzącego na polanę z białą flagą. Czy otworzą ogień? Z tej odległości ogień nie będzie zbyt celny, tak więc kapitan prawdopodobnie bezpiecznie wycofa się do lasu. Ale nic, cisza. Wiśniewski spokojnie idzie dalej.

- Chcą rozmawiać, ktoś od nich wychodzi sam – zameldował sierżant Kurowski, obserwator z lornetką.

- To prawdopodobnie dowódca, chyba nie ma przy sobie broni, przynajmniej dłużej – dodał po chwili.

Siły są nierówne, z bronią strzelecką nie mamy w razie czego żadnych szans wobec ich ckm-ów i tankietek – szybko ocenił sytuację Antek. Nie możemy nawet myśleć o ataku, a jeśli to oni zaatakują, jedyną możliwością będzie wycofanie się w głąb lasu i ewentualnie obrona stamtąd.

Obie postacie w końcu zbliżyły się do siebie. Prawie w połowie drogi, bliżej jednak nieco pozycji Sowietów. Chyba jednak są oni w zbyt dużej odległości, aby ogień mógł być celny, zwłaszcza, że kapitan stara się mieć sowieckiego dowódcę równo przed sobą.

- Wygląda na to, że rozmawiają, może jednak uda im się dojść do porozumienia – rzucił Kurowski.

- Spokojnie czekamy, ale musimy być przygotowani na wszystko – odpowiedział Antek podoficerowi.

Chwila pełna napięcia. Być może tym razem się udało?

Ale co to? Sowiet nagłym ruchem uderza kapitana w ramię, a gdy ten obraca się na bok, rozlega się suchy wystrzał z pistoletu. Kapitan pada i w tym samym momencie ckm-y otwierają zmasowany ogień, a tankietki ruszają do przodu.

- Pododdział kryć się, wycofujemy się – Antek krzyczy przez zaciśnięte gardło...



Przedpolski!

- Gdzie on, kurwa mać jest? Mam go tu na liście, ale nie napisali pod która celą siedzi. Co to ma być, czy to jest Urząd Bezpieczeństwa, czy jakiś burdel? Będziemy tak go szukać do rana?

- Ech tam, chuj z nim, niech na razie zostanie. Przyjdzie jeszcze na niego kolej, na tego zaplutego karła reakcji, szmatlawego wroga Polski Ludowej!

- Dobra, towarzysz pułkownik jeszcze coś z niego wyciągnie, on wie, jak to się robi, he, he. A potem do piachu i po sprawie, zadołujemy gada i nikt go nigdy nie znajdzie.

Antek poczuł niezmierny spokój. Dwie kropelki potu spływały po szyi, koszula pod szarą, zniszczoną marynarką była lekko wilgotna.

Czy to naprawdę bałagan? Minęły już chyba ze dwa tygodnie, odkąd prawie co noc to się powtarza, za każdym razem nieco inaczej.

To może być zwykłe straszenie po to, aby w dzień dał się namówić temu pułkownikowi „z chęci szczerej” na jakieś zeznania, a może i na współpracę. A jednak nigdy nie wiadomo, mogą się zniecierpliwić i w końcu zlikwidować. Co to dla nich, kto ich będzie z tego rozliczał?

- Ja też jestem oficerem – ponuro, lecz z godnością odpowiedział Wilk.

Właściwie to nie Wilk, tylko Wołk, jego ukraiński akcent Antek rozpoznaje bezbłędnie.

Ukrainiec w służbie Polski Ludowej w stopniu podpułkownika UB? Trochę to dziwne i nietypowe - oni przecież, niezależnie od tego, że to rezuny, na ogół nienawidzą Sowietów nie

mniej niż nas, Polaków, a może i bardziej...

Ale i my niejednokrotnie odpłacaliśmy się im pięknym za nadobne.

Czy Wilk wiedział o naszych akcjach odwetowych pod Hrubieszowem?

Mówiłem wprost kolegom z miejscowej Organizacji: zostawmy ich, ci ukraińscy chłopi z tej strony Bugu nie mają pojęcia o tym, co ich rodacy wyrabiali z nami pod Równem i Łuckiem. Oni pewnie nawet nie słyszeli o tych miastach... Będziemy się jeszcze tego wstydzić.

Stanął wtedy układ – ja nie składałem skarg do dowództwa AK, a oni nie nalegali, abym brał w tym udział.

- Panie pułkowniku, w pana przypadku, na pana stanowisku to co innego. Konfidentem nie zostanę, mój honor oficerski mi nie pozwala, naprawdę nie mogę.

- Jak chcecie, w najlepszym razie zgijecie w więzieniu, albo i gorzej. Szkoda was, jak powiedziałem, ja też jestem oficerem i chciałbym wam jakoś pomóc wyjść z tego szamba, w którym się znaleźliście.

- Mam na myśli szambo wrogości wobec władzy ludowej w co, może nieświadomie, wpadliście kumając się z reakcją - dodał jeszcze.

Dobry policjant się znalazł, prawie kolega – pomyślał Antek. A pewnie to właśnie on wysyła co noc tych żuli z pozorowaną listą do likwidacji „zapominając” o wpisaniu numeru celi.

Nie nabierze mnie na tę udawaną życzliwość i oficerską solidarność, o tego typu chwytach mówiono nam przecież podczas szkoleń taktycznych w podchorążówce. On też musi o tym wiedzieć, bo na jego twarzy nie widać większego przekonania.

Zapadła chwila ciszy. Widać było napięcie, twarz Wilka nagle spurpurowiała.

Znowu zacznie drzeć mordę i wymachiwać bronią, a może uderzy?

Antek słyszał, rzecz jasna o biciu, zarówno na gestapo, jak też w UB. Jak dotąd, to go nie spotkało, ale może być przecież różnie.

Podpułkownik Wilk działał jednak innymi metodami.

- Wyrowadzić – powiedział obojętnie, lekko zmęczonym głosem.

Pod celą kłębią się myśli, jest potężny stres, wyczerpanie brakiem snu, oczekiwanie najgorszego. Różne rzeczy opowiadają współtwarzysze niedoli. A jednak wojskowe nawyki skłaniają Antka do analizowania sytuacji

Dla Sowietów cenni są ludzie, którzy, choć mówią po polsku, to nas nie znoszą, a pewnie i nienawidzą. A w każdym razie czują się tu obco, nie mają z nami żadnego poczucia wspólnoty. Władza ludowa jest ich ojczyną, więc należy ich szybko awansować, niezależnie od braków w wykształceniu, czy wiedzy wojskowej.

*Nie matura, lecz chęć szczerza, zrobi z ciebie oficera.*

Dla Antka to propagandowe hasło było szczególnie drażniące. Pamiętał ile trudu kosztowało go kiedyś zdobycie upragnionego tytułu podporucznika. A tu taki Wołk (podobno wcześniej był szewcem i odbył tylko krótkie 6 tygodniowe szkolenie wojskowe) jest już podpułkownikiem. Nie on jeden zresztą.

Jasne, że udaje tylko oficerską solidarność. Nie może nic takiego odczuwać, bo nie zna przecież długiej, ciężkiej drogi do upragnionej kariery. On i jemu podobni nienawidzą nas, bo chyba podświadomie zazdroszczą nam tego, jacy jesteśmy. Równocześnie nami pogardzają z tego tylko powodu, że po ich stronie jest teraz siła i sukcesy.

Chcą mnie zastraszyć i przechytrzyć po to, żebym już na zawsze pozostał na ich usługach, bez wahania robiąc dla nich rzeczy podłe i haniebne.

Antek grywał kiedyś w pokera i wie, co to blef. Siła blefu polega na tym, że przeciwnik nie ma pewności, czy to jednak przypadkiem nie jest prawdziwa groźba. Jest jednak sposób, aby

sobie z tym poradzić. Trzeba skalkulować, czy poddanie się groźbie nie jest równie katastrofalne, jak to, czym przeciwnik grozi.

Jedyną szansą na pozytywne rozwiązanie mojej sytuacji jest cierpliwy, wytrwały opór. No bo cóż jest warte życie sowieckiego, ubickiego konfidenta, gdy było się wcześniej polskim oficerem? Nawet jeśli inni się o tym nie dowiedzą, pozostaje pogarda tych, co będą mnie mieli na usługach i to, co jest przecież najgorsze, pogarda dla samego siebie...

Z tego nie da się już nigdy uwolnić, takie życie nie ma żadnej wartości. Równie dobrze mogą mnie zlikwidować, w obu przypadkach będzie to porażka, zresztą wcale nie wiadomo, która większa.

Ale jeśli to jest blef i nie mają zamiaru mnie wykończyć, wtedy odmawiając z nimi współpracy wygrywam. Kiedyś stąd wyjdę i będę wolny, moje życie może mieć jeszcze sens...

